Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 8.** **Leszno, dnia 26. Sierpnia 1837.**



Przejście Napoleona przez Alpy. (Obraz franc. malarza Dawida.)

Przejście Napoleona przez Alpy.

(*Obraz franc. malarza Dawida.*)

Gdy pokonane Alpy Dawid pendzlem sławił,
Na białym koniu Gallów konsula wystawił.
Z téj strony pną się hufce przez śniegi i łomy,
Z drugiéj broni natura uzbrojona w gromy;
Już mu brzemienne chmury otaczają głowę,
Ryczą u stóp przepaści pochłonąć gotowe,
Wicher z pod kopyt koni granity wyrywa,
W nieładzie szata wodza i rumaka grzywa,
A on karcąc skinieniem przepaści i burze,
Zdaje się rozkazywać niebu i naturze.

(*Z ziemiaństwa Koźmiana.*)

O gotyckiéj architekturze.

W numerze 8, roku trzeciego P. L., do rysunku kościoła strasburgskiego, dodany jest opis, w szczególności tylko dzieje budowy jego wspominający. Fizyczne zatém tylko życie tego kościoła skreśloném zostało; nie od rzeczy przeto będzie czytelnikom przedłożyć, że jest dusza, co tę skamieniałą istotę ożywia, i uwielbienie tylu wieków i tylu pokoleń nasz siebie ściąga. W architekturze, w każdém szczególném jéj zjawisku, leży wyraz wieku, co ją zrodził; postęp jéj szedł z postępem rozwinięcia ludzkości zarówno. Wielkie budowle są to hieroglify; z nich filozof odgaduje dzieje ducha, wykrywa prawdy, któremi całe narody kupiły sobie nieśmiertelność. Architektura gotycka więcéj, niż każdakolwiek inna, nosi piętno czasu, w którym powstała, więcéj w niéj jedności, więcéj skupienia rozmaitych uczuć, więcéj boskiego eteru.

W Indyach człowiek czcił swego Boga pod ziemią; tam mu kuł ołtarze ciemne, bogate i ciężkie; bo nieśmiał wielbić przy jasności słonecznego oblicza potworów, w których rozmarzona fantazya bóstwo mu przedstawiała. Persowi czystość pierwszym bóstwa była przymiotem; oczyszczał on z ziemskości marmurowe kolumny, sklepienia i gzymsy swych świątyń, jakoby na czarodziejskich zawieszał laseczkach. Egipcyanin, któremu własne bóstwo było zagadką, co jeszcze jednę rękę podawał naturze, a drugą w sfery ducha sięgał; co wielbił Nil i Apisa, a wierzył w nieśmiertelność pielgrzymującéj duszy, wznosił owe tajemnicami ciężarne olbrzymy, szczytami sięgające błękitu, ciężarem tonące w ziemi, po lat tysiącach nieme i nieodgadnione. Mieszkaniec skalistéj Hellady, co pierwszy zaranną jutrzenkę ducha ujrzał, co całą ludzkość wzbudził i oswobodził, co nowy świat piękny otworzył, w szlachetne kształty ludzkie swoich bogów przybrał, roskoszy życia kosztować nauczył; ten Grek, którego całe dzieje tylko jedną wiosną pięknéj i silnéj młodości, jedną dźwięczną epopeją, po roskosznych miejscach rzucał swe urocze budowle, proste i niskie, jak przystało dla Bogów jeszcze ciałem odzianych, jasne i wyniosłe, jak państwo ducha, w którym królował. Rzym spętany realnością praktycznego życia, przesiąkły egoizmem ciężko materyalnym, podły i podstępny, ten zgrzybiały starzec, pod którego dłonią ludzkość zbutwiała, i w architekturze nic wzniosłego po sobie nie zostawił. Wszystkie te areny, akwedukty, łuki tryumfalne, w pocie czoła, ręką niewolników, na ołów wiekotrwale murowane, świadczą, że tylko rachuba, tylko chęć użytku, albo żądza sprosnych i okrutnych roskoszy je tworzyły. Każdy gmach rzymski, jakoby niewolnik, całym ciężarem ciała ku ziemi wisnący, nosi na sobie piętno dzieła „motłochu i cezarów.“ Tragiczny świat byzantski, co cały zbytek wschodu, i całą podłość Rzymu odziedziczył, zostawił nam te bazyliki, zewnątrz ozłocone i różnemi przypstrzone ozdoby, wewnątrz ciemne i brudne, jak te zbrodnie, któremi jego dzieje skalane. Po Maurach zostały te budowle różnobarwne, jak przyroda w ich ojczyznie, jak ich umysły rozmarzone Mokką, ostre, zakreślone jak fanatyzm, co ich zagrzewał.

Tylko chrystyanizm zdołał stworzyć architekturę gotycką; trzeba było odkupienia zupełnego, oswobodzenia ducha z więzów ciała, by wznieść w niebo te wysmukłe kibici owych wież przezroczystych, wystrzelić w błękit temi krociami ostrych i chropowatych igieł, spleść nad zielonym licem ziemi, te kamienne koronki.

Potrzeba było silnéj nadziei, aby się spodziewać, że Bóg gmachy takie dokończyć dozwoli; silnéj wiary, aby uwierzyć, że człowiek dokonać ich zdolny; silnéj miłości, aby niezmierne skarby, które pochłonęły, nieść na ołtarze boskie; słowem trzeba było tego uniesienia chrześciańskiego, które uzbrajało dusze tylu męczenników, które tylu rycerzy krzyżowych wiodło złożyć kości na spiekłych skałach Palestyny. Ileż w całéj téj architekturze świętości, ile powagi, przenikającéj do gruntu duszę człowieka? ileż posępnéj żałoby za ziemskie przewinienia, ileż uroczystéj wielkości? Jak myśl w pobożném uniesieniu, czysta płynie z padołu ziemskiego ku niebu, tak owe niebotyczne wieże z pomiędzy licznych domów, któremi zwykle obudowane, unoszą się w błękit. Z pomiędzy pamiątek architektury gotyckiéj, Münster w Strasburgu prawie najcelniejsze zajmuje miejsce; i wysokość jego wieży i zewnętrzne ozdoby do tego pierwszeństwa dają mu prawo. Posłuchajmy co jeden z uczonych podróżnych o nim mówi: w powrocie wypadła mi droga w pobliże Münstru, szybko chciałem go ominąć; dreszcz przeszedł żyły, na widok niezmierzonéj budowy; osłupiałem, hołdu surowo zdawała się żądać odemnie, a jednakże, kiedym wzrok mój silnie weń wtopił, wyrwać go już nie zdołałem. Zewnątrz i wewnątrz zacząłem gmach oglądać. Wrażenia posępnego przestrachu, łagodniały w spokojną rozwagę, w żywą roskosz. Żądza rozpoznania, zwolna w głębi duszy poczęła się budzić, niespokojnie wzrastać, wskroś mnie przejmować, aż nareszcie z coraz mniéjszym oporem, spragniony marzeń zatonąłem w widoku nowego przepychu. Co za

cudo oglądałem przed sobą! Taki potwór w wyraźne skarby rozmiaru ujęty, taka zimna skamieniałość, tak mile tchnąca, tak niezgłębiona powaga nabożeństwa, umajona wdziękiem. W tak nieprzejrzanym natłoku, taka czysta prostota. Wszędzie też same kształty, a przecież wszędzie odmiennie powtarzane. Głęboko w gruncie, jakoby na ziemską wieczność zakorzenione, to uniesienie ku Bogu. Głazowy ciężar tak lekko a tak przezroczyście, aż w obłoki podniesiony, wszędzie dźwigający i wszędy dźwigany, w powietrzu zawisły, a jednak pewno oparty. Wszystko podzielone w szczegółach, doskonale wykształcone, a przecież w całości harmonia, wszystko i każde z osobna spajająca i w jedném wrażeniu łącząca wszystko, co z osobna podziwianém byćby mogło. Z jaką niewzruszoną pewnością rozpościera się dolna podstawa przedsionku; te wieże, co kamiennemi igły ku niebu wystrzeliły, złączone jednakże ściśle z samym środkiem budowli. Nad całą, nieprzerwanie ciężko wznoszącą się massą murów, sieć kamienna z wysmukłych kolumn ciosowych, w końcu w łuki przezroczyście spleciona. Daléj te bramy, z których środkowa majestatycznie wysoka; boczne skromniéjsze, wznoszą swe wieżyczki i igły, upstrzone ślimakami i pękami liści, jakoby wyschłe ramiona modlącego się ku niebu. A w tych ostrych łukach, pomiędzy temi kolumnami nęci grono aniołów i świętych ku wejściu do wnątrza świątyni. W samym środku drugiego porządku (piętra) błyszczy słoneczna róża, jakoby rubin w misternéj oprawie; dwa ogromne okna oświecają z obustron szerokie mury wież, a jeszcze i te nowa cieniuchna tkanka z kolumn powłóczy, aż w końcu trzeci porządek, rozmaitemi kształty wysmukłych okien przerzedzony, rozlicznemi łukami, pękami liści i słupami upstrzony, w miłéj powadze wolno w czyściejszą wyżnią się wznosi.

Taką jest część przednia, w mocno zakreśloném oblongum zawarta, w stałych przedziałach na powierzchni rozłożona, a przecież coraz wyżéj się wznosząca, stopniowo węższa i jakoby zrzucała z siebie ciężar ziemskości, w tysiące łuków, wieżyczek i igieł wyrastając, wysmukła z coraz wolniejszą piersią, wznosi się w niebo, z tęsknotą równą miłości, co ją do ziemi wiąże.

Te, z sobą posplatane, olbrzymie mury, dzieli mocny odstęp od środka samotnie sterczącéj wieży. Sześć rzędów niedojrzanych prawie okien przewierca z wszech stron szybko lecącą w obłoki; ale zapał téj chyżości, znów stężałe w górze mury i zwolna wijące się ślimacze słupy czterech wieżyczek narożnych hamują. Odtąd dopiero, jakoby na tysiącu latorośli wystrzelona igła, stopniowo przepada w nieskończoność, niosąc w nieméj świętości do niebios, uroczystą pobożność całego miasta, całego kraju. I cały ten ogrom, jakoby skamieniała myśl zbawienia, tylko swym kształtem i jękiem swych dzwonów przemawiająca, stoi niewzruszenie, i zdaje się te drżące, białe przewyższać obłoki.

Takie wrażenie zrobił na uczonym wędrowcu Münster strasburgski; nie wiele rożne zrobi każda gotycka świątynia na tych, co ją prawdziwie pojąć zechcą. Nie kosztował tych słodkich uniesień człowiek dawnego świata, bo nieznał tego daru, który Zbawiciel, konając na krzyżu, obiecał wolności; bo świat, w którym on żył, zbytkował w materyi; chrześciaństwo zbytkuje myślą. J. M......

*) Wyjęte z dzieła: «Vorstudien für Leben und Kunst, von Dr. H. G. Hotho. Stuttgart und Tübingen. 1835.»

Wystawa obrazów w Poznaniu.

(Dalszy ciąg.)

«Łódź» Groltego i mnóstwo innych podobnych obrazów, których wyliczać nie chcę, tę jedną wspólną mają wadę, że malarze nierozważnie wybrali przedmiot obrazu, nie pomnąc, że to, co ich tyle mozołów i pracy kosztować będzie, pierw zważyć i estetycznie ocenić należy: ci nawet, którzy malowali z natury, powinni piękne, a nie brzydko-płaskie obierać wzory. Jeśli ludu Szwabii, Marchii i Pomorza dla zgrubiałych jego rysów, idealnie przedstawiać nie można, niechaj wzorów w innych częściach Niemiec szukają, w Bawaryi, Szwajcaryi, a wreszcie w krajach sławiańskich: niech się przenoszą po za okres domowy, skoro w nim idealnych kształtów nie ujrzą. Wszystkie sławiańskie ludy, tak odmiennéj fizyonomii od germanskich i romanskich szczepów, czekają swoich malarzy. Pierwszy Lessing się ośmielił pochwycić ich rysy, i stworzył arcydzieło: «czeskich Hussytów.» Tyle narodów sławiańskich rozlało się po Europie; każdy malarz pozna z wejrzenia mnogie ich potomki, czemuż ich nie wystawia pendzlem? Dla niektórych, jak n. p. dla wyginionych Wendów, sztuka stanie się poniekąd monumentum expiatorium straszliwéj ich zagłady. Od Sławian pod Wenecyą i Raguzą, aż do mieszkańców północnéj Rossyi, ileż to rozmaitości w rysach, strojach, ileż to zabytków w historyi. Miłośnicy sztuk pięknych szczególnie nakłaniać powinni krajowych malarzy, aby krajowe rzeczy malowali. Jakżeż to wszystkich zajęły dwa obrazki Perdischa, wystawiające «chłopów wielkopolskich» chociaż nie dosyć w nich było życia, jednak każdy z przechodniów z upodobaniem stawał przed nimi: każdy czuł bowiem, że pracowity rólnik téj ziemi, ma prawo niezaprzeczone do tego świata, w którym rzeczy powszednie w idealném okażą się świetle; domaga on się zasłużonego miejsca w poezyi, malarstwie, i żąda, aby kunsztmistrze ocenili odrębne i wydatne jego znamiona. Ileż to rozmaitości pomiędzy gminą a gminą: odwieczny nałóg żenienia się w rodu siedzibie, nadało wioskom cechy właściwe: w każdéj niemal parafii spostrzeżesz, jakąś rozmaitość w ubiorach; bo wnuki wiecią przechowali zwyczaje swoich przodków. Wszystkie te odcienia zachować mają sztuki piękne; a historya tego kraju, ileż im nie dostarczy przedmiotów?

Pominąwszy obraz biblijny, z Drezna nadesłany, a w którym żadnego po Maryi Rafaela nie ujrzysz natchnienia, przejdźmy do

Ilgiéj sali wystawy.

Wzrok twój pada na piękną Macsa «modlitwę Rzymianki» i «Taorminę» Ahlborna, a po bokach Hylasa Sohna, i rybaka Hübnera. Holender Macs kilkokrotnie powtórzył ten obraz, równie sławny z piękności Rzymianki, jak z zręczności, z jaką podwójne rzucił światło na białe suknie i nadobne lica modlącéj się, jéj siostry i dziecięcia: z tyłu wszystko silnie oświecono jasném dziennem światłem, z przodu zaś żółty promień prze-



Utworzenie nowéj wyspy.

darłszy się przez okno świątyni, spada z góry na pobożną rodzinę. Wiele sławy zjednał ten obraz swemu mistrzowi, i wiele znajdzie czcicieli. Jednak starzec, w zbyt szczupłych proporcyach, nie potrzebnie z tyłu dodany, sprawia, że piękną Rzymianka nieco za kolossalną się zdaje: a przytém wyraz jéj twarzy, więcéj roskoszy, niż religijnéj skruchy wyraża. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Utworzenie nowéj wyspy.

Nie tylko w dawniéjszych, i w nowszych czasach znajdujemy przykłady, że się na morzu formowały wyspy. Ich wychylenie się z głębi, zawsze poprzedzało wzruszenie i burzenie się morza, niekiedy zaś wybuchy wulkaniczne; a ztąd oczywisty dowód, że podziemnym wulkanom winny są swój początek; albowiem około ich kraterów zbierają się i piętrzą jak gór wierzchołki, owe ogromne, z nadzwyczajną mocą z ich łona wyrzucone massy ziemi i kamieni, a które czasem jak olbrzymie kominy nad płaszczyznę morza sterczą. Takie wyspy przez kilka wieków puste, z czasem stają się bardzo

urodzajnemi. Niekiedy jednak znikają znowu, i więcéj się już nie pokazują.

Na powyższym obrazku widzimy formowanie się takiéj wulkanicznéj wyspy na morzu śródziemnem, która w miesiącu Lipcu 1831 roku, nie daleko Sycylii, wśród zagłuszającego huku, z łona morza wynurzyła się, zapowiedziana dnia 28. Czerwca trzęsieniem ziemi. Popiół, piasek, żużle i kamienie, które podziemny wulkan wśród grzmotu i huku wyrzucał, powiększały tę wyspę aż do początku roku 1832, gdzie z powierzchni morza znowu zniknęła. Musiał to być wspaniały a razem okropny widok natury, patrzeć na słupy wody, do kilku set stóp wybuchające w górę, których wierzchołki rozdzielając się i zamieniając w parę, jeszcze daleko wyżéj wyrzucały żużle, spadające potém w morze w różnych kierunkach.

Jan Karól Chodkiewicz, wojewoda wileński, wielki hetman kor. i w. x. litewski.

(Z kazania Birkowskiego.)

Poległ wielki hetman nasz, na wojnie przeciwko pogaństwu, w samym obozie: darmoście zataić śmierć jego chcieli szpiegom tureckim; tegoż dnia, niemal téj godziny Osman o niéj z wojskiem swojém wiedział. Wypadła ta nowina z zamku chocimskiego do obozu jego pierwéj, niż do namiotów naszych. Jaka radość między bisurmany była natenczas, kto to wypowie. Tak rozumieli, że już obóz polski i litewski w rękach swoich mają; że już plony z korony i w. x. litewskiego zbierają; przetóż prędko, to jest czwartego dnia, wszystkie siły obrócili, ze wszystkich stron wycelowawszy działa i uszykowawszy hufce przeciwko szańcom naszym. Lecz i wtedy nieprzyjaciel sromotnie od szańców odstąpił, i przeląkł się umarłego Chodkiewicza, i poznał, że nie umarł lew on w dziełach swoich, który go w szczeniętach swych ochotnych natenczas pogromił.

Jan Chodkiewicz, wojewoda wileński, hetman w. x. lit. i koronny, na wojnę z pogaństwem tureckim i tatarskim wybrany, umarł w zamku chocimskim dnia 24. Wrześ. 1621. Urodził się z ojca kasztelana wileńskiego, z dziadów i pradziadów takich, z których rzadki był, któryby albo buławy hetmańskiéj nie nosił, albo stołka senatorskiego nie zasiadł. Matka jego była Krystyna Zborowska, siostra onych, którzy i dygnitarstwa wielkie w koronie trzymali, i na wojnie świetnie kwitnęli. Twarz jego na pierwsze wejrzenie surowa, i prawie marsowa, pełna była majestatu; czoło miał wysokie, nos orli, znak dostojeństwa hetmańskiego. Posiadał ogromne bogactwa i z domu ojczystego, i z spowinowacenia z domy wielkiemi, pojąwszy sobie najprzód za małżonkę Zofią Mielecką, hetmana w. kor. córkę, xiężnę natenczas słucką: a potém Alexandra xięcia na Ostrogu córkę: obie te małżonki i familią i wychowaniem i świątobliwością przezacne były. Dostojeństwa wyprzedzały wiek



Jan Karól Chodkiewicz.

młody, a gdy został wojewodą i hetmanem, wiedząc, iż zwycięztwo od Boga pochodzi, zwykł się był modlić przed każdą potrzebą, a po zwycięztwie Bogu dzięki czynił. Szczodrym był bardzo: żołnierza dobrego rad widział, temu szatę, owemu konia, drugiemu oręż darował. Wielką miał sławę z ludzkości, zwłaszcza u postronnych narodów: będąc z natury gniewliwym, nie srożył się nad więźniami, owszem ich uczciwszy, udarowawszy, wypuszczał. Po zwycięztwie pod Kircholmem, ciała kapitanów niemieckich pozbierawszy, wyprawił im pogrzeb zacny, z wielką pompą, na którym sam był. Patrzała na to Ryga, miasto wielkie, i rozeszła się sława do cudzych narodów.

Co to był za hetman, niechaj o tém świadczą wojny jego inflandzkie, które prowadził miéjscami przykremi dla jeziór, kałuż, błót i lasów wielkich: wiele zamków ledwie zoczył, zaraz brał: przyszedł, obaczył i zwyciężył. Wolmaru bez szkody swoich dostał, Parnawską bramę petardą otworzył, Rygi, Dyamentu, Derptu, Białokamienia, małą garścią ludzi, wielką mądrością hetmańską często bronił. Przed obliczem jego nietylko ziemia, ale i morze drżało, gdy na niém okręty szwedzkie palił. Zgromił poważnie Karóla xięcia Sudermanii, który natenczas miał liczne wojsko z Szwedów, Francuzów, Niemców i z Niderlandów zebrane. W jednéj godzinie, od małéj garstki hetmańskiego wojska, legło ich na placu 9000. Był tak szczęśliwy przeciwko

Szwedów, że i jednéj bitwy przeciwko nim nie przegrał.

Tenże hetman i do Moskwy na wojnę chodził: gdy najgorsze były czasy, wtenczas on hetmanił. Lecz wróćmy do obozów pod Chocimem; tam wojnę obaczym nową, niesłychaną, jakiéj przodkowie nasi nie znali: tam obaczym bucznego Osmana, a on konie swe nad Eufratem i Nilem wychowane, poi w dniestrowéj wodzie. Tam obaczym Dziambergeja, chana tatarskiego, a on wszystkie Tatary swoje wygnał z Krymu i stanął pod Chocimem, i gotów każdéj chwili na obóz polski uderzyć; tam obaczym Kantymira z 5000. kommunnika, a on się lasami pod obóz nasz przekrada, aby go jako ubiegł. Zdziwiły się rzeki Dniestr, Prut i od tych Dunaj nie daleki, gdy tak wielka moc koni, wołów i bawołów, mułów, wielbłądów przyszła na ich brzegi. Góry chocimskie zdumiały się, gdy po ich grzbietach ohydne pogaństwo deptać poczęło; zadrżały od huku dział burzących. Cóż to za śnieg nowy w te gorące dni przykrył chocimskie góry? Oto bielsze nad śnieg namioty tureckie, na trzech pagórkach rozbite. Ci obozy zataczają, a drudzy z wielkiemi hufcami następują: gęste chorągwie widząc, na pozór straszne, śmiało postępują pod szańce. Cóż natenczas nasz Chodkiewicz? czy przeląkł się tak wielkiéj ćmy, która z Azyi, Afryki i Europy wypadła? Bynajmniéj, ale uszykowawszy wojsko swoje, według zwyczaju hetmanów, taką przemowę do rycerzów uczynił:

„Pole to, na którém oba wojska stanęły, nie tak słów moich, me rycerstwo, jak waszych rąk potrzebuje: mnie też przyrodzenie nie do krasomowstwa sposobiło: więc i lata moje w téj kurzawie obozowéj strawione, nie miały czasu zdobywać się na kwiaty oratorskie; czas téż nie potemu, abym długą do was czynił przemowę. Potrzeba w oczach, oto zaraz będzie, na którą dla zdrowia rzeczypospolitéj i ukochanego kraju, krew naszę na szańc ochotnie niesiecie. Bogu memu dziękuję, że mnie z rozmaitych niebezpieczeństw wojennych wyrwał, i w tém słabém i chorem zdrowiu do tego czasu chował, abym czyto żyw J. K. Mości i rzpltéj mógł usłużyć, czyto poległszy na placu, mógł się pomścić niewinnéj krwi Chrześcian, braci moich, przez pogan okrutnie wylanéj, tu na tém miéjscu nieprzyjacielskiém. *) Mam wielką nadzieję najprzód w sprawiedliwéj do téj wojny przyczynie, mam w cnocie każdego z was, i w mężnéj prawicy, na któréj zdrowie ojczyzny jest położone. Ani was mają straszyć namioty, które Turczyn na pompę swą i na marne straszydła oczu waszych rozbił. Namioty są, ale ludzi w nich nie masz. Wielbłądy i słonie w bitwie nic nie znaczą: tłomoki noszą i ciężary na sobie, pod któremi prędzéj padną, niż was strachu jakiego nabawią. Ta kupa z Azyi napędzona, niewieściuchowie, delicyami, roskoszami, szatami jedwabnemi popsowani, skoro ich uszy trąba nasza obejdzie, a szelest zbroi waszych na nie padnie, pierzchną pewnie, ani uczynią tak, jako potrzeba z Sarmatami, prawdziwymi Marsa synami. Przodkowie wasi od zachodu słońca nad Elbą rzeką, od wschodu na Dnieprze żelazne słupy stawiali, znaki wielkiego państwa swego po wszystkie wieki. Jak tylko trąba da znać, ochotnie uderzymy na nieprzyjaciela, pomnąc na sławę ojczystą. Jesteśmy w ziemi nieprzyjacielskiéj, bystrą otoczeni rzeką: Turków i Tatarów ogromne hufce naokoło stanęły: uciekać trudno, by niewiem, jakiemu zającowi. Ma tu mąż dobry plac wielki i okazyą do nabycia wielkiéj i pamiętnéj sławy; ma i bojaźliwy pogodę, otrząsnąć z strachów serce, a mus w cnotę przemienić. Śmiałemu niechaj rośnie serce z miłości do Boga i ojczyzny.

„Ty, o najwyższa sprawiedliwości i potęgo! która królom berła rozdajesz, a wszystkim wojownikom zwycięztwa; powstań o Boże! przeciwko wierutnym nieprzyjaciołom imienia twego świętego, pohamuj pomstę za grzechy nasze, a niezmierzonéj potęgi twojéj palcem, pogrom te pogańskie kupy, i okrutne bisurmańskie zbrodni w niwecz obróć.“ *)

Ledwo to wyrzekł, umilkł, a oczyma po wszystkich rzucał, w każdym serca upatrując. Żołnierz zagrzany taką hetmana mową, okrzyk jednostajny uczynił: gardła nasze wolimy tu za kraj nasz położyć, niż z hańbą ztąd uchodzić: każ nam w ogień, każ na pewną śmierć: tam raczéj pójdziemy ochotnie, poznasz, że nam uczciwość milsza niż zdrowie. Rad temu okrzykowi był hetman: koło zaraz rycerskie tuż pod namiotem stanęło, i podniosło święte braterstwo, aby żaden żadnego nie odstępował, żaden nie uciekał, a który taki był, żeby zaraz na szablach był rozniesiony. Tu lepiéj umrzeć, tu czekać ostatnich kresów raczéj, aniż uchodzić ztąd, niż chorągwi ubiegać, aniż z taborem wędrować. Kozaków zaporowskich ta mowa hetmańska bardzo przejęła: przyszłéj nocy wpadło ich zaraz 8000 do obozu tureckiego, na stanowisko Karakasza, baszy budzyńskiego. Ciemna noc była, ale Mołojcom widna, padli na obóz pobliższy, w którym Turki pokłuwszy, koni, wielbłądów nabrali moc wielką, do tego chorągiew czerwoną prześwietną i bogate rynsztunki, i z tém wszystkiém wrócili do swego taboru. Chodkiewicz sam narażał się na działa nieprzyjacielskie, które miotały grad kul i pocisków, sam z chorągwią swoją na czoło prawie szyku tureckiego poskoczył, i onę nadętość pogańską uskromił. Sromotnie wojsko tureckie, od kilku rot naszych parte, uciekało, chorągwi i szyków swoich za-

*) Klęska Żółkiewskiego pod Cecorą roku 1620.

*) Któż nie widzi zaraz na pierwszy rzut oka, że Niemcewicz musiał mieć to kazanie Birkowskiego przed oczyma, gdy swą piękną mowę, w znacznéj części ztąd przelaną, kreślił?

pomniawszy: biegli jako niewdzięczni posłowie do swego Osmana, opowiadając przed nim haniebną klęskę swoję. Polegli najprzedniéjsi żołnierze tureccy, i trupy swemi okryli pola chocimskie. Gdy przed wieczorem zaporowscy mołojcy wpadli do obozów tureckich, działa rąbali, Turków do Dniestru wielkie tłumy naganiali i wszystek obóz turecki trwogą napełnili, wszystkie ordynki tureckie pomieszali. Sam Osman, który jako Antyoch bezecny, rozumiał, że niebem władał, górom i morzom rozkazywał; który mniemał, że mu się nikt nie oprze, wtenczas doznał, strachem zdjęty, że niemasz na tym świecie nic tak potężnego, coby nie uległo szwankowi i niebezpieczeństwu.

Przymierza tyran okrutny po śmierci jego od Polaków żebrał: nie byli od tego nasi. Targował się przez hospodary wezyr Azames i groził potęgą swoją, a zaraz wlepił oczy w posły, przypatrując się gestom ich; ażeby ich więcéj ustraszył, dał im wolność wyjazdu, kiedy zechcą z obozu. Dwaj byli kommissarze: Zórawiński i Jakub Sobieski, starosta krasnostawski. Wielkiego i prawie lwiego serca trzeba było tym posłom, ale Zórawiński odpowiada: spólne szczęście w téj bitwie mamy, a do tego niewiemy, na którą się stronę przeważy: zwycięztwem P. Bóg włada, nie widzę jeszcze przyczyny, i dla czego tak buczno Turcy, i dla czego bać się mają Polacy. Naród polski do wolności przyuczony, woli przyjść na hak ostatni, aniż karki swe swobodne przez tak wiele set lat jarzmu tureckiemu poddać, i sromotną dań z głów swoich składać. Porwali się potém zaraz oba i żegnali wezyra Azama. Zdumiał się wezyr widząc, że posłów nie ustraszył; porwał za rękę obu łaskawie, i do zawarcia traktatów prędzéj się skłonił.

Do redakcyi Przyjaciela Ludu.

Przesełając redakcyi balladę: „Mąż luby,“ miarowym wierszem napisaną, pochlebiam sobie, że jeżeli nie dla wewnętrznéj wartości poetycznéj, to przynajmniéj dla zewnętrznéj budowy wiersza, miéjsce w jéj piśmie znajdzie. Przepisy zawarte w dziele prof. Królikowskiego „o prozodyi polskiéj“ były dla mnie przewodnikiem. *) Wiersz, w téj balladzie użyty, jest choreiczny czyli trochaiczny, czteromiarowy, jednostajny (monocolos), chyba, że kto początek i dwa ostatnie wiersze pierwszéj części, za inny gatunek wiersza uznać zechce. Być także może, że niektóre miary przez surowych krytyków za spondeiczne uważane będą, pomimo, że ja radząc się zawsze akcentu, takowych uniknąć chciałem. Wierszom moim, nie odjąłem rymu na wzór starożytnych; albowiem sądzę, że wiersze nasze, nawet takie, w których pewne miary są zachowane, nie mogą dla nas tak muzycznemi wydawać się, jak greckie i łacińskie w owych wiekach. Języki starożytnych będąc iloczasowe, miały stałe, niewzruszone przepisy względem miar zgłosek, od czego nawet i w muzyce nie wolno im było odstępować; ucho ich zatém czulsze być musiało na miary, i mogło się obyć bez rymu; u nas zaś iloczas zgłosek zawisł od akcentu, a ztąd pochodzi, że jedna i ta sama zgłoska, raz długą, drugi raz krótką być może; dodawszy do tego i to, że muzyka nasza nie jest teraz tak wiązana długością zgłosek, jak dawniéj, a będziemy mogli wytłumaczyć sobie, dlaczego ucho nasze zobojętniało i mniéj czułém stało się na muzyczność w miarach. Ten brak ucha każe nam teraz szukać pomocy w rymach, które nawet w miarowych wierszach dopełniając muzyczności, stają się istotną ich ozdobą. Nie myślę tu jednak utrzymywać, żeby zachowanie rymu zawsze konieczném było, i tak n. p. w hexametrach, w których liczba zgłosek tak różną być może, stósownie do tego, jakich kto miar i jak ich używa, tam myśleć o innéj muzyczności, aniżeli miarowéj, byłoby prawdziwą przesadą. Powieść Wajdeloty w Konradzie Wallenrodzie, pozostanie długo zapewne niedościgłym naszych hexametrów wzorem. Dołączam także wierszyk: Modlitwa sieroty, w amfibrachicznych miarach złożony, a poddając pod sąd te próbki miarowych wierszy, pozwalam chętnie, równie jak pan H. C. w numerze drugim Przyjaciela Ludu, ażeby mnie kto z błotem zmięszał, byleby rzecz na tém zyskała; bo zdaniem mojém nie może być nic smutniéjszego, jak obojętność i nieczynność. Zaniedbując zaś uprawę własnego języka, możnaby zasłużyć na ten wyrzut Horacyusza:

Aetas parentum, pejor avis tulit
Nos nequiores, mox daturos
Progeniem vitiosiorem.

S.......... dnia 6. Sierpnia 1837. S. B.

*) Wspomniane przepisy wcale nie są dostateczne i przysłużyłby się ten poetycznéj formie języka, któryby zgłębiwszy dokładnie metrykę grecką (dzieła Hermana, Boeckha i innych) obeznawszy się nadto z rytmicznością nowszych języków, hiszpańskiego, włoskiego, francuzkiego i niemieckiego, wyciągnione ztąd spostrzeżenia zastósował do ducha języka polskiego. W naszych nawet poetach, zwłaszcza dawniéjszych (w Kochanowskim), znalazłby może niejednę skazówkę, któraby mu do nowych myśli i postrzeżeń wskazała drogę. Zacznijmy tylko, a reszta sama się znajdzie. P. R.

Mąż luby.

Ballada.

I.

Śpi w pałacu możny pan,
Jak szczęśliwy jego stan!
Żona hoża, świeża, młoda,
Jako róża, jak jagoda,
Ach szczęśliwy jego stan
Jako w raju młody pan.
Płynie księżyc od północy,
Pędzą chmury w czarnéj nocy,
Śpi zapewne dobry pan,
Bo szczęśliwy jego stan



Pieczątka Zborowskich.

Któż to chodzi tam na chłodzie,
Kto to znika tam w ogrodzie?
Puszczyk w cieniu bliskiéj gruszy
Złowieszczemi wrzaski głuszy,
Pies żałośnie wyje w budzie;
Już w pałacu nie śpią ludzie.
Co za postać zwolna kroczy,
Pałacowym stawa w oczy?
Czy tu cierpieć chce katusze,
Czy ostrzegać grzeszne dusze?
Ach ta postać dobrze znana,
Ach to krwawa postać pana:
Łza boleści pali oko,
W piersiach wbity nóż głęboko:
Srozsze duszy znać cierpienia,
W licach niemasz przebaczenia.
On posępne czoło wznosi,
Tak swe skargi z jękiem głosi:
„Ukochane, srogie dłonie,
„Nóż utkwiły w mojém łonie,
„Ach od żony ja zdradzony,
„Od niéj życia pozbawiony,
„Jéj kłamliwe oczu błyski,
„Śnieżnych ramion jéj uściski,
„Słodkich ponęt lały zdroje,
„W upojone zmysły moje.
„Jam ją kochał, lecz innego
„Miała sroga jéj lubego;
„Z nim pospołu tam na chłodzie,
„Przy ruczaju, tam w ogrodzie,
„Straszną śmiercią mnie zabili,
„I pospołu w dół wrzucili,
„Ziemią ciało przysypali,
„Nad mym grobem się zaśmiali."
Wtém zamilknie; kur już pieje,
Porankowy wietrzyk wieje,
Krwawa postać z oczu znika,
Boleść serca wskróś przenika.
Puszczyk w cieniu bliskiéj gruszy,
Złowieszczemi wrzaski głuszy,
Pies żałośnie wyje w budzie,
Pałacowi płaczą ludzie.
Ach jak biedny dobry pan,
Jak okropny jego stan.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

List i pieczątka Zborowskiego.

Moi Młcziwi Panowie.

Ja dzisz oto wijeszdzam z Wiednia do domu, stamtąd ku Warszawie, nadaley od dzisia dnia za 9 dni. Ale nie na Odolanów: na Siewierz raczy, na Pszedbórz y temi tam bory. Mieć będę albo mam 200 konnych, 300 pieszych archabugizów; więcéj mieć niedostatek nie dopuścił. A z inąd oporem pomoc, wszystko nad nadzieję. Bo z rzeszy naszemu nierychło idzie czegoś nie mało. Ale kiedysz tho. A tu w Wiedniu, jeden drugiemu hufcze ubiega, w czym ma wielki fortel ten, czo wnet po czesarzu. Ja obtestór, aby wszędy ku Elekcyi przyjeżdżać. I obiecują mocno. Więcéj pisać nie mam co, ani potrzebą być widzę, tylko Pana Boga proszę, abyśmy się zdrowo czo najrychléj z sobą ziechali, a za jego błogosławieństwem ojczyznie y dobréj a nieśmiertelnéj sławie swéj dobrze posłuszyli; Waszmość moim Młcziwym Panom słuszby swe pilnie zalecam.

Z Wiednia 23 Juni 87.

W. Mości mych Młciwych
Panów sługa i poniżony
powolny
Zborowski K.

Owdzie pisał p. Michałowicz, jakobyście się wy dway mortaliter powadzili, czo zatrwoszyło naszego y zatrudniło w rzeczy barzo. Avertat hoc malum Deus, na które y pomyślić groźno.

Na odwrotnéj stronie listu adres:

„Moim wielce Młcziwym Panom J. Mczi Panu Wojewodzie Poznańskiemu J.J. y J. Mczi Panu Gnieźnieńskiemu ma być dan."

Pieczątka dość wyraźna na laku z herbami Ślepowron, Habdank i dwoma innemi, których rozpoznać niepodobno: naokoło herbów na pieczątce wstęga z lit.: R J. SBO. BA. DB. Litery R J zapewne są początkowemi wyrazu: „Rytwian," przydomku Zborowskich; lit.: SBO kto wie, czy nie są początkowemi ich nazwiska, bo się zapewne Sborowski, a nie Zborowski pisali. List ten, również jak kilka innych, które późniéj nadesłać zamyślam, znalazłem pomiędzy papierami familijnemi Ankwiczów, z których jeden miał za sobą siostrę znanych w dziejach Zborowskich, jak świadczą działy majątkowe, pomiędzy niemi zrobione, a które naocznie widziałem. Pisany on jest na mocnym papierze welinowym z złoconemi brzegami, na całym arkuszu, złożony w sposób podobny, jak dzisiaj się listy składają.

Pisał go, zdaje się, o ile z podpisu sądzić można, Krzysztof Zborowski; lecz nie mając pod ręką Niesieckiego, domysłu mego stwierdzić nie mogę, również jak z pewnością wyrzec, jakie dwa inne herby na pieczątce się znajdują. Drugi list téj samej ręki, wkrótce nadeślę, lecz ten już nieco więcéj jest przez czas uszkodzony.

J. M.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)